







Ja Urodzony w 2007



Mam na imię Maciek i podobno są obawy, co ze mnie wyrośnie. Podejrzewam, że też Maciek, tylko większy, a potem nawet całkiem duży. To jednak dla niektórych wcale nie jest takie pewne. A dowiedziałem się tego przez komórkę.

Leżała beczynnym na kuchennym blacie – zupełnie sama, między kupką marchwianych obierków a schnącą w pustej szklance torebką ekspresowej herbaty. Obok na kuchence dziarsko bulgotał krupnik, a strumień pary buchał przez dziurkę w pokrywce. Nalewałem właśnie do kubka sok z kartonika (bo sok z kartonika mogę sobie nalewać sam, bez pytania) i wtedy ją zobaczyłem. Była jakaś taka smutna, zgaszona, milcząca – pewnie się martwiła, że ją tata zostawił na tak długo i gdzieś sobie poszedł bez niej. Zwykle nie wypuszczał jej z rąk. Głaskał ją czule w szybkę, trącał, gilgotał, drapał, a ona mruzczała z zadowolenia i pokazywała kolorowe obrazki. Czasem niecierpliwie dzwoniła i nie przestawała, dopóki tata nie przyłożył jej sobie do policzka. Mówił, że słucha,

i dawał się wygadać, a potem zwykle też miał coś do powiedzenia. Teraz leżała porzucona i źle jej z tym było.

Pochyliłem się nad blatem wolno i ostrożnie. Odbite w czarnej szybcie spojrzały na mnie moje własne czujne oczy. W lśniącej tafli wyświetlacza było coś tajemniczego i kuszącego. Ponieważ tata wyraźnie zaznaczył, że mam trzymać paluszki z daleka od jego zabawek, przyparłem komórkę szklaną cukiernicą, żeby się nie odsunęła, kiedy ją będę włączać patyczkiem do szaszłyków. Wycelowałem w guziczek drewnianym ostrym czubkiem i nacisnąłem...

Przez chwilę myślałem, że nie poczuła. Leżała na wznak, jakby dźgnięcie w guzik nie zrobiło na niej wrażenia. Nagle drgnęła! Sapnęła, zamrugnęła ekranem, przeciągnęła się i już nie spała. Czubkiem nosa delikatnie przesunąłem obrazek kłódeczki i wyświetlacz ożył kolorami tęczy. Zobaczyłem błękitne niebo, zielone kaktusy, mamę z tatą na wakacjach i tak mi się zrobiło wesoło, że znów trąciłem wyświetlacz nosem. Zmienił się kolor i obrazek, więc spróbowałem jeszcze raz, tylko że brodą. Potem językiem, brwią, łokciem, uchem – wszystkim, byle nie paluszkami, bo byłem posłusznym dzieckiem. Za każdym dotknięciem telefon cmokał z radości i robił nowe sztuczki. To literki, to cyferki, to jakieś gry, melodyjki, aż nagle zabrzmiało ciche:

Piiiiiiip!

Zamarłem przerażony.

Piiiiiiip!

Co robić? Zaraz ktoś odbierze!



Piiiiiiip!
Dziobnąłem nosem w ekranik!
Piiiiiiip!
Chwyciłem w rękę przez ścierkę!

– Słucham! – burknął nieznany głos.

Najbliżej stał garnek z zupą. Podniosłem pokrywkę, wrzuciłem, zamknąłem. Wyszedłem z kuchni jak duch – bezszelestnie.

U nas w domu mama woła na obiad z dużym wyprzedzeniem, bo wie, że wszyscy wolno się schodzą, a wszyscy wolno się schodzą, bo wiedzą, że mama woła na obiad z dużym wyprzedzeniem. W każdym razie nalewanie zupy zaczyna się dopiero, kiedy każdy już siedzi przy stole.



Tego dnia wyjątkowo nie miałem apetytu. Im bardziej tata chwalił zapach krupniku, tym mniej chciało mi się jeść. Mama mieszała w garnku plastikową chochlą, żeby gęste rozdzielić po równo, i coś musiało zwrócić jej uwagę, bo nagle zmarszczyła brwi i pochyliła się nad kuchenką.

– Ale dziwna płaska kość! – powiedziała.

Zamknąłem oczy, wcisnąłem głowę w ramiona i czekałem, co będzie dalej. Usłyszałem sapnięcie, jęk, przyduszony okrzyk i głośne bolesne:

– Maciek?!

Nie mam pojęcia, jak się domyślili, że to ja. Mógłbym wymienić co najmniej pięć innych prawdopodobnych wyjaśnień, skąd komórka wzięła się w krupniku. Mogła wypaść tacie z kieszeni, kiedy przechodził obok kuchenki. Mogła być w torebce z kaszą, którą mama wsypała do zupy. Garnek mógł mieć na dnie magnes przyciągający komórki. Mógł się na przykład zrobić przeciąg i różne przedmioty wdmuchnąć do wrzątku. A sroka złodziejka? Nie mogła wlecieć przez okno, porwać telefonu i zgubić go w locie?

Ale moim rodzicom nawet się nie chciało zastanawiać. Od razu:



– Maciek! Jak mogłeś? Co ci strzeliło do głowy?
Komórki się psują od wody!

– To była zupa, a nie woda – przypomniałem, ale to wcale nie poprawiło mojej sytuacji.

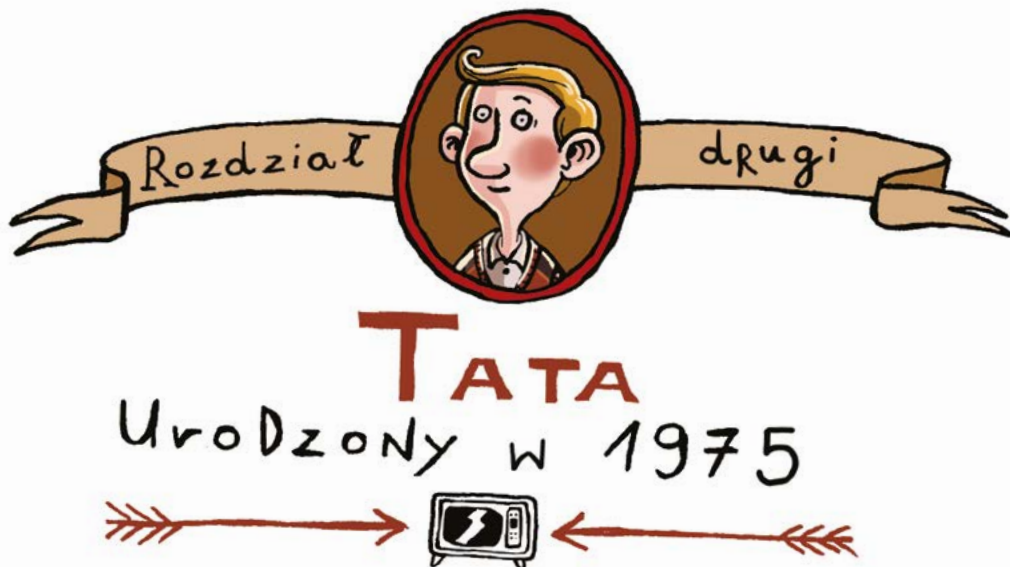
Tata złościł się i krzyczał, a potem powiedział, że za karę przez tydzień nie będę grał na komputerze.

– Albo nie! Przez dwa tygodnie! – poprawił się szybko.

To go trochę uspokoiło. Usiadł przy stole w kuchni i długo się przyglądał, jak z jego kochanej komórki kapią krople krupniku. Od czasu do czasu przestawał, by westchnąć i mruknąć ponuro:

– Co z tego dzieciaka wyrośnie! Mnie w jego wieku coś takiego nie przyszłoby do głowy!





Kiedy mój tata był małym chłopcem, wrzucenie komórki do krupniku nie mogło mu przyjść do głowy z dwóch powodów. Przede wszystkim babcia gotowała tylko pomidorową, grochową, ogórkową, szczawiową i żurek. Można by co prawda próbować znaleźć krupnik gdzieś poza domem, ale nawet wtedy nie dałoby się do niego wrzucić komórki. Komórek jeszcze wtedy po prostu nie było. Telefony wyglądały jak duże plastikowe pudełka ze słuchawkami na skręconym w sprężynkę kabelku. Można było przez nie rozmawiać tylko w domu. Do wybierania numerów służyła okrągła tarcza z otworami. Wkładało się palec do dziurki z odpowiednią cyferką i kręciło tarczą do oporu. Puszczona, wracała na miejsce z rozkosznym terkotem. Wykręcanie numerów było wtedy o wiele przyjemniejsze niż teraz.

W tych czasach nie było też komputerów, tabletów, minionków, śmiejełek i polarowych rękawiczek. Ale były już telewizory. Przed jednym z nich któregoś wieczora siedział

sobie mój mały tata – który na razie był jeszcze zwykłym Jurkiem – i razem ze swoim tatą, czyli moim dziadkiem, oglądali ważny mecz. Polska grała z Brazylią.

– To nasi czy tamci? – zapytał Jurek, kiedy jeden z piłkarzy kopnął piłkę do drugiego.

To wcale nie było głupie pytanie. Mało kto miał wtedy kolorowy telewizor. Ten w domu dziadków był oczywiście czarno-biały. Po szarej trawie za piłką biegali panowie: jedenastu biało-szarych i jedenastu jasnoszaro-ciemniejszych. Lał szary deszcz i już po kwadransie taplania w szarym błocie wszyscy wyglądali jak jedna szara drużyna. Nawet eksperci z trudem odróżniali jednych od drugich.

– Chyba nasi – niepewnie mruknął tata Jurka.

– A teraz? – spytał chłopiec.

– Teraz tamci.

– A teraz nasi, tak?

– Nie, znowu tamci.

– Jak to tamci? – zdziwił się Jurek. – Wcześniej mówiłeś, że nasi.

– Bo wtedy to byli nasi.

– Ale to byli ci sami.

– Nie – ojciec zaczynał już tracić cierpliwość. – Przecież nasi są szarzy.

– Tamci też są szarzy.

– Ale inaczej szarzy!

– No to teraz nasi czy tamci? – zapytał Jurek.

Tego już było za wiele! Ojciec złapał się za głowę, a potem huknął pięścią w miękkie oparcie fotela.





– Jeszcze jedno pytanie i koniec oglądania! – zagroził. – Nie dość, że nic nie widać, to jeszcze to ciągle brzęczenie nad uchem! Zaraz tu zwariuję!

Na szczęście zanim do tego doszło, sędzia przeciągle zadął w gwizdek i zakończył pierwszą część spotkania – 1:0 dla szarych. Tata, fukając jak jeź, poszedł do kuchni zrobić sobie kanapkę, żeby się wzmocnić przed drugą połową. Jurek został w pokoju sam z przebiegłym planem w głowie.

Najpierw dokładnie zbadał tył telewizora.

– Dobra nasza – mruknął zadowolony na widok małej dziurki w plastikowej pokrywie.



W kilku słóiczkach rozrobił plakatowe farbki i, pogwizdując dla niepoznaki, udał się do kuchni.

– Gdzie jest lejek? – spytał tatę, który miał pełne usta i trochę bełkotał, gdy mówił:

– A po co ci lejek?

– Do nalewania – wyjaśnił Jurek – celowo tajemniczo, żeby nie zepsuć niespodzianki.

– W szufladzie jest – powiedział tata i potem do końca życia nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że nic go nie tknęło.

Jurek tymczasem wziął, po co przyszedł, i wrócił do dużego pokoju. Wetknął dziubek lejka do dziurki w telewizorze

i słoiczek po słoiczku wlewał do środka kolory. Czerwony na dół stroju dla naszych. Zielony na piłkarską murawę. Błękitny na brazylijskie spodenki. Żółty na kanarkowe koszulki. Pomarańczowy na gwizdek sędziego i różowy, bo był akurat pod ręką. Ciekawe, czy to coś da – myślał, odstawiając ostatni pusty pojemniczek.

Dało. Telewizor zamrugał, zasyczał, zaiskrzył i zgasł, a razem z nim światło w całym domu.

– Co się stało?! – zawołał w ciemności tata, a wystraszony głos Jurka bąknął:

– No właśnie nie rozumiem.

Światło po chwili udało się włączyć, ale telewizora już nie. Przyczyn jego gwałtownej śmierci nikt by się może nie domyślił, gdyby nie wielobarwna rzeczka płynąca spod odbiornika i lejek zbyt późno schowany za plecy.

Następny telewizor w domu moich dziadków był już kolorowy. Można by więc powiedzieć, że dzięki Jurkowi dokonał się postęp. Z początku jednak jego tata w ogóle tego nie docenił. Na drugą połowę meczu poszedł do sąsiadów, a kiedy wrócił, rzucił synowi przez zęby:

– Przez tydzień nie wychodzisz na podwórko!

Tak się wtedy karało dzieci.

To powiedziawszy, tata mojego taty wyszedł na balkon, wsparł się łokciami o betonową balustradę i westchnął gorzko:

– Co z tego dzieciaka wyrośnie! Mnie w jego wieku coś takiego nie przyszłoby do głowy!





Dziadek Urodzony w 1944



Kiedy tata mojego taty był małym chłopcem, wlanie farb do teleodbiornika, żeby się lepiej oglądało mecz, nie mogło mu przyjść do głowy z dwóch powodów. Przede wszystkim w dzieciństwie w ogóle nie interesował się sportem. Nawet jednak gdyby był wielkim kibicem i tak nie mógłby włączyć cokolwiek do telewizora. Telewizorów wtedy po prostu nie było. O piratach, smokach, rycerzach i czarach czytało się w książkach, a najgrzeczniejsi mogli czasami dostać parę złotych na bilet do kina.

W tamtych czasach nie było też zmywarek, pralek, lodówek, pampersów, lalek Barbie i plastikowych torebek. Ale były już aparaty fotograficzne. Jeden z nich kupił sobie któregoś dnia tata taty mojego taty, czyli mój pradziadek. Mój dziadek – który na razie był jeszcze zwykłym Piotrkim – siedział sobie przy kuchennym stole i stawiał swoje pierwsze koślawe literki, kiedy jego ojciec z hukiem wszedł do mieszkania i zawołał:

– Patrzcie, co mam!

Piotrek z mamą popatrzyli. Zobaczyli brązowy skórzany futerał zwisający na pasku ze zgiętego w haczyk palca. W kącie poszły literki i zaczęło się podziwianie.

– Rety! Prawdziwy? – nabożnie szepnął Piotrek, a tata bez słowa pokiwał głową.

Aparat był czarno-srebrny i ze środka wystawało coś, co wyglądało jak krótka lufa armaty.

– To obiektyw – powiedział tata. – Oko aparatu.

Przyłożył własne oko do małego okienka, wycelował w mamę i pstryknął.

– Co robisz? – pisnęła mama i poprawiła sobie fryzurę.

Na fotografii wyszła chyba jeszcze z niepoprawioną, ale nie było pewności, bo wtedy w aparatach zdjęć nie widziało

